

# Dzwonnik roczdelski



BOLESŁAW PIACH

# Dzwonnik roczdelski

## ROZDZIAŁ I

Otworzył oczy i natychmiast stał się czujny jak małe zwierzątko. Nie było żadnej przerwy między snem a całkowitym przebudzeniem. Mały Bob Sandert, od czasu jak rozpoczął prawdziwie samodzielne życie, to znaczy od dwóch prawie lat, nauczył się wychodzić na spotkanie nadchodzącego dnia bez żadnej zwłoki, bez żalu, bez rozpamiętywania snów.

Jednym ruchem odrzucił z siebie derkę, którą się przykrywał, wstał, wyrównał starannie wiązkę słomy, na której leżał, i nakrył ją derką.

Nie musiał się ubierać. Już od miesiąca sypiał w kompletnym ubraniu, a od tygodnia nastały takie chłody, że chętnie ubrałby się do snu w trzy, albo i cztery kurtki.

Miał jednak tylko jedną kurtkę. Nie wyglądała zbyt pięknie, a to, że służyła Bobowi za nocną koszulę, nie czyniło jej wcale piękniejszą. To samo można by powiedzieć o długich, sięgających pięt spodniach.

Bob zresztą nie rozmyślał nad swoją garderobą. Wsunął stopy w drewniane chodaki i, klekocząc nimi po twardo ubitej ziemi, podszedł do małych drzwiczek w rogu szopy, pchnął je i wyszedł na podwórze.

Wstrząsnął nim chłód wczesnego jesiennego poranka. Pomyślał sobie ze smutkiem, że zima już się zbliża, że niedługo już będzie mógł wytrzymać w szopie kowala Smitha, który wprawdzie każdej wiosny zajadłe targuje się z nim o komorne, ale za to jak przychodzi do płacenia, macha tylko ręką, kpi po swojemu z Boba, z siebie i z całego świata, a pieniędzy nie bierze.

Tak, tak! Dobry chłop z tego Smitha. Kpi sobie wprawdzie z Boba, wyśmiewa go, ale robi to w taki sposób, że nie można mieć do niego o to pretensji. W całym Roczdelu<sup>1</sup> nie ma ani jednego człowieka, którego by Smith nie znał i o którym by nie miał czegoś śmiesznego do opowiedzenia.

Jakby tam zresztą z kowalem nie było<sup>2</sup>, lada dzień mrozy chwycą i trzeba się będzie wynieść z jego szopy. Za kąt w ogrzanej izbie trzeba gospodarzom płacić, a tu jeszcze i inne zimowe wydatki nadchodzą. Ukryte pod słomą trzewiki domagają się gruntownej reparacji<sup>3</sup>, warto by też postarać się o jakąś koszulę, a choćby i ciepły serdak. Zima przecież... nie żarty.

Któraż to może być godzina? Kuźnia jeszcze na glucho zamknięta, w mieszkaniu państwa Smith okna szczelnie założone okiennicami. Za drewniakiem Bartów nad błotnistym stawem wisi gęsta mgła, za którą ledwie widać czerwone mury fabryki.

Wcześniej jeszcze. Może dopiero za jakąś godzinę rozlegnie się pierwszy gong fabryczny. Można by jeszcze pospać godzinę, ale Boba już obsiadły zimowe troski i kłopoty. O ciepłym serdaku nie ma co marzyć. Pierwsza rzecz to spłacenie długu w sklepiku, a później ta reparacja butów. Na samym końcu, jeżeli się da coś zrobić, można będzie pomyśleć o kupnie koszuli.

Tymczasem warto by się zakrzętnąć koło śniadania.

Jak co dzień tak i tym razem Bob przeżywa chwilę rozterki. Zupa „od wczoraj” stoi w garnuszku. Chleba też jeszcze jest spory kawałek — czerstwy już, ale zjeść go można.

<sup>1</sup>Roczdel, właśc. *Rochdale* — miasto w Wielkiej Brytanii nieopodal Manchesteru, w XIX wieku centrum przemysłu włókienniczego. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Jakby tam zresztą z kowalem nie było — dziś popr.: Jakkolwiekby tam zresztą z kowalem było. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>reparacja (daw.) — naprawa, reperacja. [przypis edytorski]

Tylko że to wszystko jest takie „chude”... Czy nie kupić by paru lutów<sup>4</sup> szmalcu<sup>5</sup>? Można by zupę okrasić albo i ten chleb posmarować...

Zziębnięte wnętrzości Boba domagają się jakiejś tłuszcieszej strawy, ale Bob jest rozsądny i dotrzymuje danych sobie przyrzeczeń. Żadnych hulanek w tym miesiącu! Trzeba zaoszczędzić na dług u sklepikarza i na szewca.

Więc do roboty! W kącie podwórza, za studnią, leży wczoraj jeszcze przygotowana kupka wiórów z fabrycznej stolarni. Można będzie na nich odegrzać tę zupę.

Przechodząc koło studni, Bob znów walczy z sobą. Umyć się czy nie umyć? Tak zimno, a ta studzienna woda pewnie jest jak lód. Po długich wahaniach wyciągnął ceberek wody i umył w nim twarz i dłonie. Co do reszty, to obiecywał sobie mętnie, że później... potem... po śniadaniu... Wytarł się wylogiem kurtki i wygarnął zza studni sporą wiązkę<sup>6</sup> wiórów.

Wracając z wiórami do szopy, spojrzął raz jeszcze w stronę drewniaka Bartów. Mgła opada już na dobre. Trzeba się śpieszyć z tym śniadaniem. Warto by się jeszcze przed pójściem do pracy rozejrzeć za jakimś kątem na zimę.

\*

— Mówił mi pan Smith, że u państwa mógłbym pomieszkać przez zimę...

Wielka pani Winders nie odpowiada. Zachowuje się tak, jakby Bob nic nie powiedział, jakby go w ogóle nie było. Pochylona nad kuchnią dmucha z całych sił w palenisko. Wszystkimi licznymi szparami kuchni wydobywa się gęsty dym, ale płomień jakoś się nie pokazuje. Bob pomyślał sobie, że drzewo pewnie zamokło i że niełatwo będzie rozpalić ogień.

Trudno. Trzeba poczekać. Niech sobie pani Winders mruczy gniewnie nad swoją robotą, a Bob tymczasem rozejrzy się po izbie.

Nie dlatego, żeby był<sup>7</sup> ciekaw, jak ta izba wygląda! Bob zna wiele mieszkań roczdelskich tkaczy i wie, że wszystkie są prawie jednakowe. Zaduch, ciasnota i zniszczone graty — to wszystko. Tu, u pani Winders, jest nawet obszerniej i czystszej niż gdzie indziej. Ale to nie o to chodzi. Bob rozgląda się, bo interesują go ludzie, z którymi być może będzie przez jakiś czas mieszkał. Czy to duża rodzina? Czy są małe dzieci, które płaczą po nocach? Czy oprócz Boba będą jeszcze jacyś inni lokatorzy, a głównie — ilu ich będzie?

Tak na oko niełatwo się zorientować, ale Bob ma wprawę. Kombinuje.

Zupełnie małych dzieci chyba tu nie ma, bo nic dokoła nie wala się po podłodze, nie ma też żadnej kołyski ani chustki zawieszanej u okapu pieca.

Ta dziewczyna, która przykucnęła sobie cicho w najciemniejszym kącie izby, ma już co najmniej siedem albo i osiem lat. Może już nawet pracuje w fabryce przy zbieraniu odpadków — Bobowi wydaje się, że już ją gdzieś widział, pewnie w fabryce...

Gospodarza nie ma; pani Winders jest wdową, tak powiedział kowal Smith... Ale co to?

Zza zielonej pluszowej zasłony słychać starczy męski kaszel. Tam pewnie jest mała alkowa bez okna. Mieszka w niej jakiś stary krewny albo lokator. Raczej lokator niż krewny, bo taką alkowę każdy chętnie wynajmuje — zawsze to własny kąt — a krewny spałby we wspólnej izbie.

A kto to jest ten młody półnagi mężczyzna, który myje się właśnie w blaszanej misce? I jego Bob zna z widzenia. Nieraz spotyka się z nim na dziedzińcu fabrycznym. To na pewno tkacz. Ale kim on jest dla pani Winders? Synem...? Lokatorem...?

Odwraca co chwila mokrą twarz w stronę Boba i uśmiecha się jakoś bardzo szczerze i serdecznie. Wreszcie woła:

— Słuchaj no, smyku! Nie mógłbyś mi umyć pleców? Sam jakoś nie mogę osiągnąć, a Sylwia obraziła się na mnie, więc wlaźła w kąt i nie chce ze mną gadać.

Bob zbliżył się do niego i dużym kawałkiem mydła zaczął mu szorować plecy. Zadawał przy tym pytania ostrożnie i jakby od niechcienia.

<sup>4</sup>lut — dawna jednostka masy (1/32 funta). [przypis edytorski]

<sup>5</sup>szmalc (gw.) — smalec. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>wiązka wiórów — dziś raczej: garść, kupka wiórów. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Nie dlatego, żeby był — dziś popr.: nie dlatego, że jest. [przypis edytorski]

— Pan pracuje w fabryce, prawda?

— Aha!

— Czy pan... czy pan jest synem pani Winders?

— Tak. Nazywam się John Winders, a ta mała, tam w kącie, to moja siostra Sylwia. Obraża się, jak jej powiedzieć, że jest piegowata, a to przecież święta prawda. Ma cztery piegi na nosie. Możesz tam do niej podejść i sam przeliczyć.

W ciemnym kącie Sylwia poruszyła się gwałtownie i zamamrotała coś z wściekłością.

— Ooo! Widzisz, jaka rozkoszna? Lepiej nie podchodź, bo cię podrapie! — John roześmiał się na cały głos. — Ty chcesz u nas mieszkać? Słyszałem, jak pytałeś o to moją matkę. Z nią nie ma teraz co gadać. Kuchnia się zepsuła i dymi, więc matka jest nie w humorze.

Roześmiał się jeszcze głośniej i weselej niż przedtem.

— Trzeba ci wiedzieć, że kobiety z naszej rodziny nie mają anielskich charakterów. Teraz wytrzymaj mi plecy, dobrze?

Właśnie kiedy Bob kończył to wycieranie, pod blachą małej kuchenki zahuczał ogień. Pani Winders wyprostowała się, otarła fartuchem spoconą twarz i spojrzała bystro na Boba.

— Chcesz tu mieszkać?

— Tak, proszę pani. Przysłał mnie kowal Smith.

— A kto ty jesteś?

— Nazywam się Sandert. Bob Sandert, proszę pani. Pracuję tu w fabryce przy warsztacie tkackim.

Głośny, basowy, chrypiący głos zawołał:

— Wyrzucicie tego tkacza! Do licha z nim. Nie będę mógł patrzeć na szczeniaka! Wyrzucicie tego smarkacza za drzwi!

Zielona pluszowa zasłona odchyliła się gwałtownie i w ciemnej wnęce alkowy stanął olbrzymi, przeraźliwie chudy starzec. Zagryzał ze złością rzadką siwą bródkę, drżącą rękę wyciągnął w stronę Boba i mamrotał jakieś niezrozumiałe, zagubione w kaszlu przekleństwo.

Nie wiadomo, czy kaszel, czy irytacja sprawiła, że posiniał na twarzy i groźnie wytrzeszczył oczy. Wyglądał tak przerażająco, że Bob pobladł i skrył się za plecy Johna.

Ale oprócz Boba nikt nie przejął się wejściem i krzykami starca. Sylwia siedziała cichutko w swoim kąciку, pani Winders wzruszyła ramionami i wróciła do kuchni, a John roześmiał się wesoło i równie swobodnie jak przedtem.

— Nie dziwaczkcie, Henry. Co wam zawinił ten smyk?

Stary wzniosł obie ręce nad głowę i jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy.

— Co zawinił? Pytasz się jeszcze o to?! Ach, prawda! Zapomniałem, że ty masz jeszcze pracę, jeszcze ci żaden taki szczeniak kawałka chleba z ust nie wydarł. Spójrz na niego, Johnie Winders! Przecież on nie ma jeszcze dziesięciu lat!

— To i co z tego?

Ale już i Bob uznał, że czas mu się wtrącić do tej rozmowy.

— To nieprawda — krzyknął, ukryty bezpiecznie za plecami Johna — mam już skończone dwanaście lat!

— Dwanaście lat! Słyszysz John? Dwanaście lat ma ten pędrak, a ja mam pięćdziesiąt dwa. On wygląda na dziesięć, a ja na osiemdziesiąt. On ma pracę, John, a ja nie mogę jej dostać. On zabiera pracę i chleb dorosłym mężczyznom! On i ta mała diablica Sylwia. Wyrzucicie tego smarkacza, bo zobaczycie, że mu jeszcze coś złego zrobię. Ręce trzeba takim ucinać! Żeby nie odbierali pracy nam! Nam...

John splunął ze złością.

— Tfu! Do licha! To wy, Henry, już takiej prostej rzeczy nie rozumiecie, że dzieciak nie jest temu winien? Sami przecież powiedzieliście, że wygląda na dziesięć lat, choć ma już dwanaście. Wy dobrze wiecie, z czego ten młody wygląd. Z pracy nad siły, z niedojadania, z niewysypiania się. Czegóż wy chcecie od dziecka? Fabrykantowi taniej się kalkuluje jego praca niż wasza, więc jego bierze, a nie was. Czy taki mały smyk nie powinien się uczyć? Umiesz ty czytać i pisać, Bob?

— Umiem czytać drukowane. Pisać nie umiem, panie Winders...

John nie śmiał się już po swojemu. Oczy miał poważne i smutne.

— Czy wiecie, Henry, skąd się wziął w fabryce ten mały Bob Sandert?

— Mogę powiedzieć — mruknął Bob — tu nie ma żadnej tajemnicy.

— Nie. Poczekaj Bob. Ja spróbuję zgadnąć, dobrze? Jeżeli się pomylę, to będziesz mógł później powiedzieć swoje. Więc słuchajcie, Henry. Tęgo tu małego Boba znaleziono przed dwunastu laty na schodach domu podrzutków. Do chustki, w którą był owinięty, przyczepiona była karteczka z imieniem i nazwiskiem — pewnie to wszystko było zmyślane, ale matka chciała, żeby mały miał przynajmniej jakieś nazwisko, skoro nie może mieć własnej matki ani własnego ojca. W tym domu podrzutków był do tego czasu, póki nie nauczył się chodzić. Potem oddali go do sierocińca. Nie myślcie sobie, że dzieci mają w takim sierocińcu słodkie życie! Skąpe jadlo, wokoło obcy, twardzi, zabiedzeni i zniechęceni dorośli ludzie, nie najlepsze traktowanie, nierządki i bicie... No, ale jakoś się tam Bobowi żyło. A tymczasem fabrykanci coraz to ulepszali swoje maszyny tkackie, coraz to mniej było przy tkactwie odpowiedzialnej, fachowej roboty, a coraz więcej tych mechanicznych cudów. Skoczyli po rozum do głowy i wymyślili... wy sami najlepiej wiecie, co wymyślili. Po kiego licha było im zatrudniać takich starych tkaczy jak wy, którym trzeba płacić tyle, żeby przecież jakoś z rodzinami nie poumierali z głodu, skoro mogli przy maszynie postawić małego pędraka albo starą kobietę i płacić im jakiś bagatelny grosz. Tak też i zrobili. Do tego sierocińca, w którym był Bob, przyszedł pewnego dnia, to pewnie było ze trzy lata temu, agent, taki — wiecie — jak ten z piosenki o małym Hardym, i zabrał go wraz z innymi bachorami<sup>8</sup> do fabryki... Kierownicy tego sierocińca zgodzili się. No bo i pewnie... Niech sobie takie bachory pochodzą do warsztatu, niech się czego<sup>9</sup> nauczą...

Bob słuchał tego wszystkiego z najwyższym zdumieniem. Czary jakieś, czy co? Skąd on tak dobrze wie...? Stary Henry też słucha uważnie. Ciągle jeszcze zagryza siwą bródkę, ale oczu już tak nie wybałusza i w ogóle wygląda o wiele łagodniej.

A John ciągnie dalej:

— No więc przyprowadzili Boba do fabryki i na początek dali mu zajęcie przy zbieraniu odpadków albo przy darciu szmat. Sypiał w tych barakach za stawem. Byliście tam kiedy, Henry? Nie, a więc mogę was zapewnić, że nie ma tam luksusu. Brud, zaduch i zimno. Nie bawią się tam z bachorami w żadne czułości. Wam teraz jest ciężko, ja wiem, ale to wam powiadam, że na pewno nie wzięlibyście do ust tej strawy, którą tam dostają te dzieciaki. Tam mieszkał Bob rok, a może i więcej. W zeszłym roku, kiedy skończył jedenaście lat, okazało się, że jest dorosły, że może już pracować przy warsztacie i że może sam się starać o własne wyżywienie. No i jak widzicie, stara się. Jeżeli sam się nie postara o jakieś mieszkanie na zimę, to będzie marzył.

John nabrał oddechu, bo zdyszał się przy tym prędkim opowiadaniu, i spojrzał na Boba.

— No i co Bob? Prawdę powiedziałem?

Bob zawołał z uwielbieniem:

— Najprawdziwszą prawdę, panie Winders. Ja tak sobie właśnie myślę, tak się dziwię, skąd pan to wszystko wie? Przecież nie opowiadałem panu o tym. Tyle tylko, że z sierocińca zabrali mnie do fabryki równe cztery lata temu, w listopadzie tysiąc osiemset czterdziestego roku, a nie trzy lata, jak pan powiedział. I na swoim też już jestem dwa lata, a nie jeden rok. Ale wszystko inne to sama prawda.

John roześmiał się z tryumfem.

— Widzicie, Henry! Tak jest prawie zawsze. A wy mówicie, że on wam kawałek chleba zabrał? Niewielki jest ten jego kawałek, możecie mi wierzyć!

Stary nie odpowiedział, zakaszłał gwałtownie, odwrócił się i znikł w milczeniu za swoją pluszową zasłoną.

Bob spoglądał za nim z zaciekawieniem. Wielu już widział starych bezrobotnych tkaczy, ale takiego dziwaka nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać. Można z nim będzie prowadzić długie ciekawe rozmowy. Bob tak lubi, tak bardzo lubi rozmawiać z dziwnymi, niecodziennymi ludźmi! Coraz większą ma ochotę do zamieszkania razem z Johnem i z tym starym tkaczem. Tylko... ta milcząca pani Winders i ta Sylwia w ciemnym kącie izby...

<sup>8</sup>*bachor* (pogard.) — dziecko a. dziecko nieślubne, bękart. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*czego* — tu dziś popr.: czegoś. [przypis edytorski]

No ale to już trudno. Bob dawno już doszedł do przekonania, że rozsądny mężczyzna nie powinien zwracać uwagi na kobiety. Nie wiadomo, po co toto chodzi po świecie.

A właśnie „toto”, czyli pani Winders, mówi do Boba ostrym i chropowatym głosem!

— No to już przynieś wieczorem, po pracy, swoje manatki. Zrobi ci się posłanie w tamtym kącie przy oknie. Pościel masz?

— Mam, proszę pani, derkę.

— I nic więcej, co? Jakbym wiedziała! No trudno! Coś ci będę musiała wykombinować. Przyjdź wieczorem.

— A ile ja będę płacił, proszę pani?

— O tym też wieczorem pomówimy. Nie bój się. Nie skrzywdzę cię! Zobaczymy, jak nam się będzie razem mieszkąć.

Bob uklonił się i ruszył w stronę drzwi. Kiedy je otwierał, rozległ się przeraźliwy głos gongu fabrycznego. Trzeba się śpieszyć. Czas już do roboty!

## ROZDZIAŁ II

Późnym wieczorem całe zbolące ciało odmawia posłuszeństwa. Zdrętwiałe palce nie chwytają już tak sprawnie i nieomylnie cienkich pasemek przędzy. Ból w krzyżu przypomina, że czas już rozprostować zgięty nad warsztatem grzbiet. A ostatni gong fabryczny, zwiastujący koniec dnia roboczego, nieprędko jeszcze uderzy...

Wielka, ponura i skąpo oświetlona sala pełna jest pracujących dzieci i starych kobiet. Szybki rytm maszyn nie zmienia się w ciągu dnia. Dzieci i kobiety nie mogą już teraz nadążyć. Ciemne ściany, z których tynk dawno się odkruszył aż do czerwonych cegieł, są zimne i nieprzytulne. Za małymi, zakratowanymi okienkami stoi już wczesna jesienna noc.

Tych śmiertelnie zmęczonych ludzi nie nagonią już do szybszej pracy brutalne przekleństwa i groźby majstrów. Niech sobie maszyny terkocą choćby i najszybciej — są przecież tylko maszynami. Ludzie łakną już odpoczynku, łakną swobodnego rozprostowania zgiętych nad warsztatami ciał.

Wtedy o niski sufit uderza pieśń przewlekła i smutna, niemająca początku ni końca, rozpoczynana przez kogokolwiek od którejkolwiek strofy i śpiewana przez wszystkich... nawet maszyny zdają się swój rytm włączać w niewymyślną melodię.

Zegnij grzbiet! Pochyl kark!  
Wytęż oczy, mały Hardy!  
Podnieś głos, zanuć pieśń...  
Pieśń o doli twojej twardej!

W prostych zwrotkach niezgrabnej piosenki o małym Hardym, dzielnym tkaczu roczdelskim, przesuwają się całe jego smutne życie. Wędruje przez szerokie gościńce i prosi ludzi o kawałek chleba. Spotyka wytwornego pana, ubranego w elegancką szarą pelerynę, złoty cylinder i lśniące czarne buty. Idzie z nim do fabryki i zaczyna w niej pracować. Siły jednak nie dopisują mu. Mały Hardy zbyt jest słaby, żeby tak dużo pracować i tak mało jeść.

Bob Sandert łączy swój głos z innymi. Omdlałe palce poruszają się szybciej i sprawniej. W rytmie piosenki odnalazły zagubiony już rytm maszyny.

Nad warsztatem pochylony  
Czemuś zbladł tak, Hardy mały?  
Z ust dwie strugi krwi czerwonej  
Płyną na nic przędzy białej.

Długo jeszcze smutno i przewlekłe ciągnie się piosenka, zanim dojdzie do tej ostatniej, najostatniejszej zwrotki.

Dźwięki gongu żywym głosem  
Koniec pracy! Zmiana warty!  
Czterej tkacze cię wynoszą...

Śpij spokojnie, mały Hardy!

A kiedy piosenka, podnoszona w coraz to innym miejscu, została już prześpiewana wielokrotnie, kiedy słabe głosy dzieci zaczęły już chrypnąć z wysiłku, gong fabryczny, jakby uproszony przez ducha małego Hardy'ego, uderza, głosząc koniec dnia roboczego.

Bob Sandert przeciąga się ze znużeniem. Dziś przeprowadza się na nowe mieszkanie! Szopa kowala Smitha będzie stała pusta aż do pierwszych cieplejszych dni wiosennych...

\*

— Ty jesteś Bob Sandert, prawda? Ty już tu dziś rano byłeś?

Sylwia stoi w otwartych drzwiach i przygląda się Bobowi uważnymi oczami. Wreszcie usuwa się z przejścia.

— Mama powiedziała, żebyś swoje rzeczy położył w kącie przy oknie. Będziesz tam spał razem z Johnem, na tym sienniku na podłodze.

Bob przysiadł na dobrze wypchanym sienniku, kładzie swoje zawiniątko na ziemi i przypatruje się z uśmiechem Sylwii.

— Czego tak na mnie patrzysz? Ja rano byłam zła, bo John mi dokuczał. A ty nie będziesz mi dokuczał?

Bob pokrywa tę kwestię milczeniem. Po co składać przyrzeczenia, jeżeli wcale nie wiadomo, czy będzie można ich dotrzymać? Trzeba się najpierw przekonać, jaka ta Sylwia jest, jacy oni są wszyscy. Rozpoczyna więc ostrożnie śledztwo.

— Twój brat, ten John, nie wrócił jeszcze z fabryki?

— On ostatnio nie wraca z fabryki do domu. Przychodzi dopiero późnym wieczorem, zmęczony i zablocony. A czasem przychodzą tu różni ludzie i John siedzi z nimi do północy nieraz, w alkowie u starego Henry'ego... Gadają i gadają, nie wiadomo o czym... Dziś pewnie też będą gadać, bo przed chwilą był tu kowal Smith i pytał o Johna, czy już wrócił.

— Aha! Więc Smith tu też przychodzi?

Bob spojrział ciekawie w stronę zielonej zasłony i zapytał cicho:

— Czy on jest tu teraz, ten... Henry?

Sylwia wstrząsnęła głową przecząco.

— Nie. On też późno wraca. Chodzi cały dzień po śmietnikach i zbiera do worka takie różne rzeczy: pudełka, deseczki, kości... Potem gdzieś to wszystko sprzedaje...

Spojrzeli po sobie i oboje wybuchnęli śmiechem — choć wcale im się nie wydało zabawne to zajęcie Henry'ego.

Sylwia, śmiejąc się, marszczyła komicznie swój krótki i zadarty nos. Można było wtedy spostrzec na nim parę bladych piegów. Bob miał ochotę powiedzieć coś na ten temat, ale powstrzymał się na razie. Zapytał tylko:

— A ty, co robisz?

— Pracuję w fabryce przy zbieraniu i darciu odpadków. Ty już pracujesz przy warsztacie, prawda? Może na przyszły rok i mnie tam przeniosą, wtedy będę więcej zarabiać. Tobie na imię Bob, prawda?

— Aha.

— A umiesz śpiewać piosenkę o małym Hardym?

— Umiem. To przecież każdy umie!

Bob kręci głową w zamyśleniu. Teraz dopiero, w rozmowie, okazuje się, że ta Sylwia taka jest jeszcze mała i dziecinna. Ma najwyżej osiem lat, o cztery lata młodsza jest od Boba, a już tak ciężko pracuje... Bob też już pracował cztery lata temu, no ale on nie miał rodziców, był w sierocińcu, a zresztą on jest chłopak — mężczyzna...

Czy John Winders nie ma racji, że wszystkie dzieci powinny chodzić do szkoły i uczyć się? Czy stary Henry nie ma racji w tym, że praca zarobkowa należy się jemu, a nie tej małej Sylwii?

— A co robi twoja mama?

— Poszła do sprzątania, do jednych państwa. Ona chodzi do takich bogatych domów sprzątać i prać bieliznę. Niedługo powinna już wrócić. Henry też lada chwila nadejdzie. Umiesz rozniecać ogień pod kuchnią?

— Nie wiem... chyba tak. W szopie u kowala Smitha miałem mały żelazny piecyk, ale ten pewnie tak samo się rozpala.

— No to chodź! Pomożesz mi. Nasza kuchnia zepsuła się i teraz bardzo jest trudno na niej gotować...

Bob wstał z siennika i podszedł wraz z Sylwią do kuchenki. Uśmiechnął się do swoich myśli. Zdaje się, że dobrze i ciekawie będzie tu mieszkać, u tych Windersów...

Pochylili się nad kuchenką. Sylwia układała na palenisku kawałki drzewa, a Bob rozbijał młotkiem dużą bryłę węgla. Po chwili już oboje dmuchali zawzięcie i z całych sił, prostując się tylko na chwilę, aby zasmolonymi rękami obetrzeć zażawione od dymu oczy.

Kiedy wreszcie płomień buchnął i Sylwia postawiła na fajercie duży garnek wody, Bob przypomniał sobie, że w tym pośpiechu nic sobie nie kupił na kolację.

— Muszę jeszcze pójść do sklepu. Zaraz wrócę...

\*

Na ulicy jest zupełnie ciemno. Widocznie deszcz padał przed chwilą, bo przy przejściu przez jezdnię Bob dwa razy o mało co chodaków nie zgubił w błocie. Całe szczęście, że od Windersów jest niedaleko do sklepu Horta. Jeszcze tylko skręcić za tamtą kamienicę i już zaraz na rogu ulicy Żabiej zobaczy się szerokie oszklone drzwi sklepowe, rzucające na błotną ulicę strugę silnego światła. Stary Hort światła nie żałuje! Wszystko po to, żeby przyciągać kupujących. Już dwóch kamieniczek dorobił się na roczdelskich tkaczach. Sklep ma ładny, duży, towaru nigdy nie brakuje. Tym, którzy pracują, udziela kredytu, więc wszyscy u niego kupują. Cóż z tego, że oszukuje na wadze, że dolicza po kryjomu do rachunków drobne sumy. Tak robią wszyscy sklepikarze...

Bob pchnął oszklone drzwi i wszedł do wnętrza sklepu. Żadnych kupujących nie ma — późno już. Tylko stary Joachim Hort siedzi za ladą i liczy pieniądze z dzisiejszego targu. Skinął Bobowi głową z taką serdecznością, że aż mu się wszystkie tłuste podbródki zatrzęśły.

— Jak się masz, Bobie Sandercie. Chcesz pewnie uregulować rachunczek. Zaraz znajdę twoją kartkę.

Dźwignął się ciężko z zydeł, ale Bob powstrzymał go.

— Nie, panie Hort. Jeżeli pan łaskaw, wołałbym teraz nie płacić. Mam wydatki. W przyszłym tygodniu, jeżeli pan łaskaw, panie Hort...

Hort opuścił się z powrotem na zydeł i uśmiechnął się życzliwie.

— Cóż, mogę poczekać. Ja zawsze mogę poczekać. Z ciebie jest i tak nie najgorszy płatnik, Bob, tylko że mało kupujesz. Skąpisz sobie, a to niedobrze, bardzo niedobrze. Młody przecież jesteś, no nie? Czym mogę ci teraz służyć?

— Funt chleba, panie Hort.

— I nic więcej? Sam tylko chleb?

— Muszę oszczędzać, panie Hort. Płacę teraz za komorne.

— A! To rozsądnie z twojej strony, to bardzo rozsądnie! Może jednak choć kawałek słoniny? Nie można się przecież głodzić!

Ale Bob jest stanowczy.

— Tylko chleb, jeżeli pan łaskaw.

Za chwilę już z małym pakunczkiem pod pachą brnie przez błoto w stronę mieszkania pani Winders.

\*

Już od samego progu zorientował się, że Henry powrócił. Zza zielonej kotary dochodzą głosy rozmowy: głęboki, basowy głos bezrobotnego tkacza i drugi głos matowy, znajomy... tak, to na pewno kowal Smith.

Pani Winders też już wróciła i z hałasem przesuwając garnki na kuchni. Sylwia z zawziętą miną skacze dokoła stołu na jednej nodze. Bob, który jest w tych sprawach doświadczony, mógłby przysiąc, że ona sobie postanowiła, iż coś pomyslnego zdarzy się, jeżeli uda się jej



ileś tam razy na jednej nodze okrążyć stół. Na widok Boba nie przerywa skakania. Woła tylko zdyszczanym głosem:

— Pan Smith pytał o ciebie. Jest w alkowie u pana Henry’ego. Idź tam do nich!

Bob zerka na pakuneczek, który trzyma pod pachą. Prawdę mówiąc, już czas najwyższy na kolację. Czy ta rozmowa nie potrwa zbyt długo? Smith, jak się rozgada... oho! A Bob jest porządnie głodny. No, trudno. Trzeba tam jednak zaraz iść. Kowalowi lepiej się nie narażać. A ten dziwak Henry? Czy znów będzie krzyczał i przeklinał?

Kładzie swój chleb na rogu stołu i ociągając się, niepewnym krokiem zbliża się do alkowy. Uchyła ostrożnie zasłonę i mówi bardzo cicho, o wiele ciszej, niż miał zamiar powiedzieć:

— Dobry wieczór panom...

To było powiedziane naprawdę cicho, ale tamci usłyszeli go jednak. Starzec utkwiał w nim surowe spojrzenie zaczerwienionych, łzawiących oczu, a kowal Smith kiwnął na powitanie głową i uśmiechnął się życzliwie.

— W sklepie byłeś, co? Mówiła mi Sylwia. U Horta, prawda?

— Tak, panie Smith.

— No, no! Już niedługo będziesz u niego kupował!

Bob zdziwił się.

— Dlaczego?

Stary Henry zachichotał grubym głosem i zakasłał się tak, że znowu posiniał na twarzy. Potem, nie przestając się śmiać, mruknął:

— Zapytaj o to Johna Windersa, smyku. On każdemu chętnie tłumaczy. I nie tylko on. Karolowi Howardowi<sup>10</sup> głupstwo strzeliło do głowy, a od tego kilkudziesięciu dorosłych tkaczy też dostało bzika. Taki szczeniak jak ty też będzie się pewnie zachwycał tym głupstwem...

Bob nic z tego wszystkiego nie rozumie. O jakich tkaczach mowa i dlaczego mają bzika? Jakim znowu głupstwem ma się on, Bob, zachwycać? Lepiej się za bardzo nie dopytywać, a zresztą przecież sam Henry powiedział, że John wszystko chętnie wytłumaczy. Tylko dlaczego ten stary znów się złości? Wpakował siwą bródkę do ust, gryzie ją z wściekłością i zanosí długim kaszlem... Za chwilę zacnie przeklinać...

Ale kowal Smith przyciąga Boba do siebie, otacza go silnym ramieniem i Bob od razu przestaje się bać. Słucha uważnie rozmowy.

— Nie takie znowu głupstwo, Henry, nie takie znowu głupstwo. Sama rzecz jest niegłupia. Ja dlatego się z tego wszystkiego śmieję, że taka rzecz nie może się udać. Ludzie są na to za głupi i za bardzo myślą tylko o sobie. Niedawno czytałem, że już siedemdziesiąt lat temu ktoś chciał takie coś zorganizować, ale ludzie go wyśmieli i tyle było z tego! Tak pewnie będzie i tym razem, więc można sobie z tego kpić. Inna sprawa, że gdyby im się udało, to potem oni śmieliby się z nas wszystkich. I mieliby rację!

Henry zaśmiał się grubo, nieprzyjemnie.

— To ma im się udać?! Ty myślisz, że tkaczom może się udać cośkolwiek? Czy mnie się udało? Albo innym... Pokaż mi takiego tkacza, który by nie cierpiał biedy! Żadnemu się jeszcze nie udało! Nikomu! Nigdy! Nic!

— No, ja nie o tym mówię. To co innego... tu chodzi o wspólny wysiłek.

Starego aż poderwało z miejsca. Wyprostował się ogromny, głową sięgający prawie sufitu, i wołał na całe gardło:

— Wspólny wysiłek! Wspólny wysiłek! Nie wstyd ci, Smith, że takie bzdury wygadujesz? Mogę ci tu zaraz opowiedzieć o takim „wspólnym wysiłku”, który podjęliśmy my, starzy tkacze londyńscy, wtedy, kiedy ty byłeś jeszcze smykiem, a tego roczdelskiego „tkacza” Boba wcale jeszcze na świecie nie było. Mieszkałem wtedy w Londynie, w północnej dzielnicy miasta. Siedzieliśmy w jednej izbie w trójkę z żoną i synem. Syn miał już wtedy dziewiętnaście lat i pracował w fabryce jako tkacz. Posłuchaj, Smith, posłuchaj! Ludzie dokoła się dziwili, że taki młody chłopak jest już prawdziwym tkaczem. Nie brano wtedy do roboty bachorów. Cóż by fabryka z nimi poczęła? Ja zresztą też nie chodziłem do fabryki na robotę. Miałem w izbie własny warsztat tkacki. Pracowaliśmy na

<sup>10</sup>Karol Howard, właśc. Charles Howarth (1816–1868) — tkacz z Rochdale, jeden z pomysłodawców tamtejszej kooperatywy Rochdale Society of Equitable Pioneers, która stała się wzorem dla podobnych stowarzyszeń w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

nim razem z żoną. Fabryka nie mogła nadążyć zamówieniom z całego świata i oddawała część roboty takim jak my, chałupnikom. Nie przelewało się u nas, możesz mi wierzyć, ale żyliśmy jakoś. Głodu nie cierpiał się...

— Kiedy usłyszeliśmy, że fabryka sprowadza maszyny tkackie, które same będą tkwały, wzruszyliśmy tylko ramionami. To nas nie dotyczy — tak sobie wówczas myśleliśmy. Jeżeli tkaczom fabrycznym lżej będzie pracować przy tych nowomodnych warsztatach, to ich szczęście, ale nie wierzyliśmy, żeby takie coś mogło wydać równie dobrą tkaninę jak prawdziwe, żywe ręce tkacza. Ślepi byliśmy! Ślepi głupcy! Prędko przestaliśmy wzruszać ramionami. Fabrykę zamknięto, a nam przestano wydawać robotę do domów. Niech tam! Nie martwiliśmy się za bardzo. Robotnikom mówiono, że za parę tygodni fabryka znów ruszy, już teraz z tymi maszynami. Zaczęliśmy zęby i postanowiliśmy przeczekać. Ciężko było tak siedzieć bez zarobku, ale z biedą znaliśmy się dobrze nie od roku. Jak to tkacze...

Henry zatrzymał się. Targnął nim silny kaszel, więc usiadł z powrotem na swoim łóżku i ujął głowę w obie dłonie.

Bob przycisnął się mocniej do kowala. Jest tak, jak przewidywał. Dobrze i ciekawie będzie mieszkać u tych Windersów.

Tymczasem starzec wydyszał się i ciągnął swoje opowiadanie już spokojniejszym i cichszym głosem.

— Przeczekaliśmy jakoś. W fabryce ogłoszono, że przyjmuje się robotników, że robota na miasto, chałupnikom, wcale nie będzie wydawana. Niech tam! Pogodziliśmy się i z tym. Zdawało nam się ciągle, że jeżeli w fabryce chcą teraz robić wszystko, to będą musieli przyjąć wielu nowych robotników. W ten sposób i chałupnicy znaleźliby pracę. Poszliśmy więc do fabryki wszyscy, z rodzinami... Reszty chyba się domyślicie, bo wiecie przecież, jak teraz jest. Przyjęli małą garstkę prawdziwych, rzetelnych tkaczy, trochę starych kobiet i... dzieci, całą masę dzieci! Powiedzieli nam, że więcej nie potrzebują. I okazało się, że naprawdę więcej nie potrzebowali. Moja żona miała szczęście, dostała robotę. Przez jeden dzień z jednym małym chłopcem-pomocnikiem utkała więcej niż my przedtem na naszym warsztacie w dwa miesiące. A to, co zarabiała...? Jak myślicie? Nie zarabiała nawet czwartej części tego, co przedtem. A nas było ciągle troje. A dokoła nas było tysiące bezrobotnych rodzin. Zaczęliśmy się zmawiać ze sobą. Postanowiliśmy, słuchaj uważnie Smith!, zrobić ten, jak ty tu mówisz, wspólny wysilek. Rozumieliśmy przecież wszyscy, że te *maszyny* winne są naszej nędzy! Trzeba zniszczyć *maszyny*, a będziemy mieli znowu pracę, to było jasne i proste...

Stary zamyślił się. Myśli długo. Wydaje się, że już nie podejmie przerwane opowiadania. Tymczasem Bob aż dygoce z chęci dowiedzenia się, co było dalej, co zrobili londyńscy tkacze. Wreszcie nie może już się powstrzymać.

— A co było dalej, panie Henry?

— Co było dalej, pytasz? Ano poszliśmy całą kupą, wszyscy dorośli tkacze... z żelanymi drągami... poszliśmy na fabrykę!

Stary zachichotał.

— Kruche są te nowomodne maszyny. Kruche i delikatne. Łatwo się rozlatywały w drobne kawałki. Mieliśmy swoją krzepę w łapach, londyńscy tkacze! Tylko że to nic nam nie pomogło. Ilu zostało zabitych w walce... ilu poginęło w więzieniach... tego nie policzysz, smyku. Sprowadzono nowe *maszyny*, jeszcze lepsze, jeszcze szybsze... przyjęto do pracy takich jak ty bachorów, a starzy tkacze rozeszli się po świecie szukać kawałka chleba. Ja tu zawędrowałem. Zgubiłem po drodze żonę, syna... słabsi byli ode mnie, nie wytrzymali. A teraz grzebię się w rocdelskich śmietnikach. Ech!

Bob pomyślał sobie, że jednak Henry ma swoje powody do przeklinania i zloszczenia się. Tyle nieszczęść go spotkało... Nawet Smith spowaźniał, nie uśmiecha się. Mówi głosem poważnym, bez drwin.

— To wszystko, coście powiedzieli, Henry, to nic nowego. Wiem o tym i pamiętam te czasy. Nie tylko w Londynie przecież... w całej Anglii tkacze ruszyli się i poszli z drągami na maszyny. I, wiecie, po mojemu to było wielkie głupstwo. Ludzie w rozpacz nie wiedzieli, co robią. Cóż tu maszyny zawiniły? Nie gniewajcie się, Henry, ale maszyna to dobra rzecz — oszczędza ludzką pracę. A że ludzie jej głupio używają, to już, darujcie, wina ludzi. Ja jestem kowal, ale nie mam pretensji do tego spryciarza, który wymyślił

miech i kowadło. Pewnie gdyby teraz ktoś wymyślił taką maszynę, która by sama konie podkuwała, to straciłbym kawałek chleba, ale maszyna byłaby dobra. Świat, uważacie, idzie naprzód. Mądre lby myślą, jakby tu zrobić coś takiego, żeby się ludziska tak nie męczyli, no i wymyślają różne rzeczy. Tylko że to wszystko potem dostaje się do rąk ludzi złych i głupich, więc tak wychodzi, że bieda jeszcze się powiększa. Ale to są ludzie winni, a nie maszyny.

Henry chciał coś ostro odpowiedzieć, nawet już usta otworzył, ale w tej chwili w izbie rozległy się ciężkie kroki, zieloną zasłonę odgarnął ktoś energicznie i u wejścia do alkowy stanął John z kilkoma jeszcze mężczyznami. Mrugnął okiem do Boba.

— Dobry wieczór. Mówiła mi matka, żeś ty, Bob, jeszcze kolacji nie jadł. Więc uciekaj stąd, zjedz i idź spać, bo już późno. Jutro przed świtem cię obudzę, mam z tobą o czymś do pogadania. My tu sobie jeszcze trochę u was posiedzimy, Henry. Pozwolicie? Chcemy się naradzić w tamtej sprawie... Siedźcie i wy, Smith. Mądra głowa zawsze się przyda. Tylko nie kpjcie sobie z nas. To naprawdę poważna sprawa!

### ROZDZIAŁ III

Jedną wadę ma to mieszkanie u Windersów: do fabryki jest stąd dość daleko. Przynajmniej dwadzieścia minut szybkiego marszu. Ale Bob nie narzeka. Dziś jest mu to nawet na rękę. Tyle spraw ma jeszcze do przemyślenia! Musi się dobrze zastanowić na tym wszystkim, o czym mu dziś od samego świtu opowiadał John Winders.

O! To są nie byle jakie sprawy!!

Bob nadziwić się nie może, że taka prosta rzecz nie przychodzi sama każdemu człowiekowi do głowy, że dopiero trzeba ją ludziom tłumaczyć, prosić ich, żeby raczyli wysłuchać... A przecież to właśnie idzie o ich dobro!

Więc jak to John tłumaczył?

Zaczęło się od sklepu grubego Joachima Horta. On tu przyjechał przed dwudziestu laty i założył sobie małe sklepi. Teraz ma już dwa własne domy, duży sklep i podobno wiele, wiele pieniędzy. Skąd się to bogactwo wzięło? Hort po prostu, tak samo jak i inni sklepikarze, kupował towary u hurtownika i sprzedawał je rodzinom rozdelskim po cenie oczywiście wyższej niż ta, którą zapłacił. Tak robi każdy właściciel sklepu. Ale Hortowi udało się, bo niedaleko od jego sklepu powstała wielka fabryka, dokoła której zgromadziło się wiele robotniczych rodzin. Wszyscy kupowali u Horta, tak że z tej różnicy pomiędzy ceną, którą płać za towary, a ceną, za którą je sprzedawał, Hort mógł już nie tylko dobrze żyć, ale także wzbogacił się bardzo.

Te bogactwa składają się więc z drobnych groszy, które biedni ludzie przepłacali całe lata za chleb, za kaszę, za mąkę. Oba domy Horta zostały zbudowane za pieniądze, które tkacze mu płacili nie za towary, bo towary przecież kosztowały Horta mniej, tylko za to, że mogą te towary u niego kupić, za to, że nie mogą kupić od razu u tego, który ten towar robi, bo hurtownik czy rolnik sprzedaje w dużych ilościach i trzeba by do niego bardzo daleko chodzić czy nawet jechać...

Bob musi aż przystanąć, tak go dziwi głupota tego całego urządzenia. A przecież sposób na to jest taki prosty! John mu dziś nad ranem wszystko doskonale wytłumaczył.

Gdyby tkacze rozdelscy złożyli się i założyli własny wspólny sklep, to nie musieliby przepłacać tych towarów. Kupowaliby wszystko od razu na miejscu: mąkę w młynie, warzywa u rolnika... Za każdy kupiony w swoim własnym sklepie towar dostawaliby karteczkę, a co roku sklep zwracałby kupującemu nadwyżkę, którą sobie Joachim Hort chowa do kieszeni. Im kto więcej w czasie roku zakupi, tym więcej dostanie pieniędzy. Zamiast bogacić grubego Horta, tkacze oszczędzaliby, mieliby lepsze, lżejsze życie. Postanowili więc, że założą taki sklep!

Ach! Jaka szkoda, że Bob musi już pędem biec do fabryki, że już jest tak późno! Pomyślałby jeszcze nad tym, co można zrobić, żeby ludzie nie byli tacy głupi i uparci. Przecież John mówił, że organizacja tego sklepu idzie jak z kamienia, że ludzie wysmiewają się z Karola Howarda i z całego jego pomysłu. Nawet Smith, choć taki niby mądry, śmieje się z tego. Niewielka garstka tkaczy od wielu już miesięcy składa grosz do grosza — po

dwa pensy<sup>11</sup> tygodniowo od rodziny, a zebrało się bardzo mało pieniędzy. Trzeba przecież komorne zapłacić, towary zakupić...

Jasne, że Bob zrobi co może, żeby pomóc Johnowi i tym dwudziestu ośmiu tkaczom, ale roboty jest straszna masa, a czasu już niewiele. Otwarcie sklepu ma nastąpić już za trzy tygodnie, dwudziestego pierwszego grudnia.

\*

Dźwięki gongu żywym głosem  
Koniec pracy! Zmiana warty!  
Czterej tkacze cię wynoszą...  
Śpij spokojnie, mały Hardy!

Jeszcze śpiewając tę ostatnią zwrotkę, Bob przepycha się energicznie ku wyjściu. Nie pozwala sobie nawet na przeciągnięcie się, na rozprostowanie zboliałych kości. Dziś nie ma na to czasu. Kolacja też zaczeka. Niech tam! Trudno!

John czeka już pewnie na dziedzińcu. Nie tak łatwo jest go znaleźć. Obszerny dziedzińiec fabryczny zawałony jest olbrzymimi belami wełny. Co chwila zajeżdżają nowe wozy z surowcem. Woźnice smagają konie, wpadają na siebie furgonami, klną, aż uszy puchną. Zwalają te bele na ziemię w bezładne kupy. Tłok robi się coraz większy. Robotnicy, którzy przenoszą bele do składów, nie mogą wybrnąć z tego labiryntu wozów i ludzi, potracając się, kłócąc... jak tu w tym wszystkim odszukać Johna?

Ale John sam się znajduje. Wylazi spod jakiegoś wozu, mija drugi, rozpycha dwóch skaczących sobie do oczu woźniców i zbliża się do Boba.

— Dobry wieczór! Bardzo jesteś zmęczony?

— Dobry wieczór, panie Winders. Mogę iść z panem...

John roześmiał się i klepnął go mocno po ramieniu.

— Zuch! Ale nie myśl sobie, że to będzie taki mały spacer. Musimy oblecieć dwa-dzieścia dwa mieszkania. Niektóre są dość daleko.

— Nie szkodzi. Dam sobie radę!

— No to idziemy. Oczywiście musisz mieć szeroko otwarte, Bob. Powinieneś wszystko dobrze zapamiętać. Na przyszły tydzień pójdziesz już sam.

Ruszyli w milczeniu. Po chwili John zapytał:

— Głodny jesteś?

— Żeby już prawdę powiedzieć, panie Winders...

John roześmiał się.

— No przecież...! Napracowałeś się. Matka nam kolację przygotowuje, ale tymczasem warto coś niecoś przegryźć.

Wyciągnął z kieszeni spory kawał chleba, rozłamał go na dwie części i poczęstował Boba. Jedli obaj w milczeniu, nie zwalniając kroku.

Po kilku minutach marszu zatrzymali się przed drewniakiem Bartów.

— Tu wejdziemy do trzech mieszkań. Najpierw do Jamesów. Może będziemy mieli szczęście i zastaniemy samego tylko Jamesa, bo ta jego żona...

Wdrapali się po stromych ciemnych schodach na drugie piętro. Stanęli przed jakimiś drzwiami, zza których dochodził głośny, ostry głos kobiety.

— Hm! — mruknął John z żalem — Jamesowa jest w domu. Szkoda! Ale trudno, musimy wejść.

Zapukał i nacisnął klamkę. Stanęli u progu małej, straszliwie zatłoczonej ludźmi izdebki. Przy stole siedział mężczyzna, którego Bob nieraz spotykał na dziedzińcu fabrycznym. To na pewno ten James. Koło niego wierciło się niecierpliwie troje małych dzieci. W głębi izby na rozesłanym już łóżku siedział bardzo stary człowiek i kołysał w rękach niemowlę. Pani James, bardzo chuda i bardzo wysoka kobieta, krząta się przy kuchni. Spogląda nieżyczliwie na Johna i Boba.

— Czego?

<sup>11</sup>pens — drobna moneta w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

— Przyszliśmy... — rozpoczyna niepewnie John, ale pani James przerywa.

— Wiem, po coście przyszli! Od rana już na was czekam. Znowu chcecie wyludzić od tego mojego głupca pieniądze? Dziady zatracone! Jak ci nie wstyd żebrać, Johnie Windersie? Spójrz, przyjrzyj się, komu ten nędzny grosz zabierasz. Popatrz na dzieci! Powiedz sam, czy nam wolno pieniądze wyrzucać na takie głupstwa?

James, który do tej chwili siedział przy stole ze spuszczoną głową, teraz podniósł się z miejsca.

— To nie są głupstwa, Marie. Tu chodzi właśnie o dzieci, o nas... tłumaczyłem ci już. Maria James jest nieubłagana.

— Wynos się stąd, ty głupcze! Wynos się razem z tymi twoimi dziadami. Ja nie chcę mieć nic wspólnego z tym oszukaństwem! Nie masz litości nad własnymi dziećmi?

James wyszedł na schody razem z Johnem i Bobem. Wygrzebał z kieszeni dwa pensy i wsunął je w dłoń Johnowi, mrucząc pod nosem jakieś przeproszenia<sup>12</sup>.

Zeszli na dół, nic do siebie nie mówiąc. Dopiero na parterze John powiedział cicho:

— Jeszcze tu... do dwóch mieszkań. To nie jest mile zajęcie, prawda, Bob? Ale ktoś to przecież musi robić...

\*

W alkowie starego Henry'ego tak jest duszno od dymu tytoniowego, że Bob ledwie może oddychać. Zmęczony jest i oczy kleją mu się do snu. Chętnie poszedłby w ślady Henry'ego, który wyciągnął się na swoim łóżku i śpi w najlepsze, nie zwracając uwagi na głośnie rozmowę ani na gryzący dym z czterech fajek. Ale Bob nie może sobie pozwolić na zaśnięcie. Musi słuchać uważnie rozmowy. Za tydzień otwarcie sklepu! Roboty jeszcze mnóstwo. Kłopotów cała masa...

A John wygląda, jakby się wcale tych kłopotów nie bał. Mówi głosem spokojnym o pieniądzach, o towarach, o lokalu. A więc: z udziałów wpłynęło tyle a tyle. Za komorne i urządzenie sklepu zapłacono tyle a tyle, a za resztę sprowadzi się towary. Niewiele ich będzie — na razie tylko mąka, kasza, chleb... ale to już trudno, pieniędzy jest bardzo mało. Tymczasem sklep będzie otwarty tylko wieczorami. Dyżurować w nim będą poszczególni udziałowcy — każdego wieczora inny. Mały Bob Sandert obiecał, że co wieczór przyjdzie pomagać w sklepie. On i do tej pory bardzo dzielnie pomagał przy zbiorce udziałów. Bob proponuje, żeby go w nagrodę uczynić jednym z członków kooperatywy. Nie włożył wprawdzie pieniędzy, ale włożył i jeszcze włoży dużo pracy.

Wszyscy zgadzają się, kiwają potakująco głowami. Bobowi aż senność przechodzi z wielkiej radości. John dawno mu już to obiecał, ale nie było pewne czy inni się zgodzą. No i zgodzili się! To świetnie...

Tymczasem John mówi dalej o tym sklepie, że trzeba coś zrobić, żeby ludzie ich poparli, kupowali u nich. Kooperatywa nie może udzielać kredytu, będzie miała mało towaru, ale za to sprzedawać się będzie w dobrych gatunkach i dawać się będzie uczciwą wagę. Trzeba coś zrobić, żeby jak najwięcej ludzi dowiedziało się o tym wszystkim. John spogląda wokół dość bezradnie.

— Co zrobić? Radźcie.

Jakoś nic nikomu nie przychodzi do głowy. Spoglądają po sobie w milczeniu.

— No więc? Nikt nic nie może wymyślić?

— Ja wam poradzę!

Kowal Smith wypuścił z ust ogromny kłęb dymu i zamrugał wesoło oczami.

— Ja wam poradzę. Dawniej ogłaszano obwieszczenia królewskie w ten sposób, że taki specjalny urzędnik bił głośno w bęben, dopóki nie zbiegła się spora gromada ludzi. Wtedy dopiero czytał głośno obwieszczenie. Wy też zróbcie tak samo.

Zaciągnął się dymem i roześmiał się na głos.

— Bębna nie macie, co? To nic. I na to poradzę. Dam wam dużą sztabę żelazną i młotek. Tę sztabę zawieszicie gdziekolwiek na drucie i będziecie w nią dzwonić młotkiem. Hałas będzie pierwszorzędny! Nawet sto bębnow takiego rejwachu nie narobi jak ta sztuka. Zlecą się ludziska z całego Roczdeltu. Wtedy ktoś z was, może ty Winders,

<sup>12</sup>przeproszenia — dziś raczej: przeprosiny. [przypis edytorski]

wlezie na jakąś pakę i kropnie mowę, żeby ludziom do serca przemówić. No i co? Dobra rada?

John odpowiedział za wszystkich.

— Wyśmienita! Naprawdę wyśmienita! Tak właśnie zrobimy, jak radzicie, Smith. Porządny z was chłop! Wyśmiewacie się z nas, a jednak...

Kowal ryknął śmiechem na całe gardło.

— Właśnie dlatego, John, właśnie dlatego. Ja przecież pierwszy przylecę na twoją mowę i w ogóle na tę całą hecę. Przykrzy się człowiekowi ciągle śmiać samemu, a tak to będę się śmiał razem z całym miastem!

Tkacze pospuszczali głowy, a Bob pomyślał sobie, że jednak ten kowal Smith to nie jest dobry człowiek. Ojca i matkę by sprzedał, byleby tylko usłyszeć lub powiedzieć coś śmiesznego czy dowcipnego.

Ale John nie przejął się ani trochę.

— Niech i tak będzie Smith. Ale my zrobimy właśnie tak, jak nam poradziliście. I to już jutro wieczorem.

Tymczasem Bob też już zapomniał o kpinach kowala. Cały jest napełniony jedną myślą. A gdyby tak... to byłaby wspaniała zabawa... głupstwo! Wcale nie zabawa, tylko prawdziwa pożyteczna praca. A Bob ma taką ochotę!

— Panie Winders, niech pan pozwoli! Ja pójdę z wami. Ja będę dzwonił! Panie Winders! Niech pan pozwoli!

Huczący śmiech gromady mężczyzn napełnia całą alkowę. Stary Henry budzi się z twardego snu, siada na łóżku i patrzy wokoło nic nierozumiejącymi oczami. A kowal Smith aż się spląkał ze śmiechu. Rozciera łzy po policzkach i swoim zwykłym ruchem przyciąga Boba do siebie.

— Tak, Bob, tak! Ty... będziesz... rocdelskim dzwonnikiem!

\*

Przez ciemne ulice, przez błotne rowy brnie pięciu ludzi. Prowadzi John Winders. Za nim, ociągając się, człapie James obciążony wiązką chrustu i dwaj inni tkacze z takimi samymi ciężarami. Na samym dopiero końcu wlecze się Bob pełen sprzecznych uczuć. Z nabożeństwem trzyma w ręku sztabę i młotek, ale ukradkiem rozgląda się, czy nie wyjrzy zza jakiegoś rogu roześmiana twarz kowala Smitha. Co to będzie? Co to będzie? A jeżeli John przestraszy się w ostatniej chwili, spieszy się i nie będzie mógł z siebie ani słowa wydusić? Dopieroż by się ludziska śmieli!

Na rogu ulicy Żabiej tuż przy sklepie Horta John przystaje i przygląda się uważnie drzewom przydrożnym.

— Tu — powiada cichym, wzruszonym głosem. — Kładźcie ten chrust i od razu go podpalcie. Bob! Dawaj tę sztabę!

Wyjmuje sztabę z drżących rąk Boba i zawiesza ją na nisko zwisającym konarze. Tymczasem płomienie zaczęły już obejmować spory stos chrustu.

— Bob! Zaczynamy! Wał młotkiem z całej siły!

Bob doskoczył do sztaby. Zawrzała w nim wściekłość — sam nie wiedział, o co i na kogo jest taki zły. Walił w sztabę z rozmachem raz po razie. Hałas był rzeczywiście tak ogłuszający, że Bob przestał czuć i rozumieć, co się koło niego dzieje. Przestał bić młotkiem dopiero wtedy, kiedy go pan James siłą odciągnął od sztaby.

Oparł się plecami o drzewo i rozejrzał się wokoło. Chrust płonął już wielkim ogniem, oświetlając całą ulicę. O dwa kroki od Boba dwaj tkacze podnoszą na ramionach Johna. Dookoła pełno jest ludzi. Przez otwarte okna wyglądają zdziwione i przerażone straszliwym hałasem twarze. Drzwi od sklepu Horta otwarte są na oścież.

— Słuchajcie mnie ludzie! Mówię do was w imieniu dwudziestu ośmiu tkaczy rocdelskich, którzy zakładają robotniczy sklep kooperatywny. Słuchajcie mnie! Opowiem wam, na czym będzie polegało urządzenie tej kooperatywy i dlaczego ten sklep będzie zupełnie inny niż sklepy prywatnych właścicieli.

Z ust Johna płyną słowa przekonywujące<sup>13</sup>, wartkie, słuszne. Kiedy na chwilę przestaje mówić, aby zaczerpnąć oddechu, dwaj trzymający go tkacze i James krzyczą na całe gardło: — Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie!

Bob zasłuchał się w słowa Johna. Upajała go słuszość i rzetelność tych wielokrotnie już w czasie ostatnich tygodni słyszanych argumentów. Nie! takiemu przemówieniu nie można się oprzeć!

Bob śmiało rozgląda się po szerokim kole słuchaczy. No tak. Słuchają pilnie. Czerwony blask palącego się chrustu oświetla twarze skupione i poważne. Ale dalej... tam, za plecami pierwszego rzędu słuchających... tak! Bob nie myli się. Duża gromada ludzi otacza kowala Smitha. Tak, to on. Mówi coś do nich przyciszonym głosem. Śmieją się wszyscy. Och! Śmieją się coraz głośniej!

Uważne twarze z pierwszego rzędu stają się roztargnione, coraz częściej odwracają się w tamtą stronę, z której słychać coraz głośniejszy śmiech, z której padają coraz to rubaszniejsze żarty.

Rudy, przysadzisty O'Brien przedarł się prawie do samego Johna, zadarł głowę i przerwał mu bez ceremonii.

— Czego ty, Winders, tak górnie piejesz?

Potem skurczył się błazeńsko, obrócił się wokoło i zaczął z udaną bezradnością:

— Powiedzcie mi, dobrzy ludzie, powiedzcie mi, bo nie rozumiem, kto tu kogo buja? Czy John Winders dwudziestu ośmiu tkaczy, czy ci tkacze Johna Windersa, a może to oni wszyscy razem chcą nas naciągnąć?

Głos Johna już ledwo słychać. Już prawie przygłuszył go ten gromadny śmiech.

— Słuchajcie ludzie — woła ostatkiem sił. — Otwieramy nasz sklep dwudziestego pierwszego grudnia o godzinie ósmej wieczorem. Przyjdźcie i poprzyjcie nasz wspólny wysiłek!

— A jakże — zapewnia O'Brien wśród ogólnego śmiechu. — Przyjdziemy. Na pewno przyjdziemy wszyscy! Będzie na co popatrzeć.

John zeskoczył już z ramion tkaczy i spokojnie odwiązuje sztabę. Bob, spocony mimo mrozu, myśli tylko o tym, jak by tu się z tego tłoku wydostać. Ale okazuje się, że na tym jeszcze nie koniec. W drzwiach sklepu staje gruby Joachim Hort i woła słodziutkim głosem.

— Hej, hej! Panie Winders! Skoro już zakłada pan własny sklep, to może zechce pan uregulować ten rachuneczek starszej pani Winders. Uzbierała się tam sumka niewielka, ale akurat mi się przyda, bo będę miał teraz konkurencję. O to samo i pana poproszę, panie James. A i u Boba Sanderta coś niecoś mi się należy. Jak konkurencja, to konkurencja!

\*

Położyli się obok siebie na sienniku i nakryli się każdy swoją derką. John wtulił głowę w poduszkę i już zabierał się do spania, kiedy poczuł, że Bob trzęsie się jakoś dziwnie. Pochylił się nad nim i zapytał:

— Co ci to, Bob? Beczysz? Dlaczego?

— Tak się... nie udało — wyjąkał Bob.

John przysunął się do niego, objął go ramieniem i zaczął mu szeptać do ucha.

— Głupi jesteś! Przestań beczyc<sup>14</sup>, bo nie pójdziesz jutro dzwonić pod fabrykę. Ty byś chciał, żeby wszystko od razu dobrze poszło. A przecież, chociaż Smith bruździł i ten O'Brien, to jednak byli i tacy, którzy wysłuchali wszystkiego z uwagą i poważnie. Ci już są nasi. I wiesz? — John zaśmiał się cicho. — Z jednej rzeczy jestem bardzo zadowolony.

— Z czego?

— Z tego, że gruby Hort był taki wściekły. To znaczy, że uderzyliśmy go w bolące miejsce.

<sup>13</sup>przekonywujące — dziś raczej: przekonujące. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>beczyć — dziś popr.: beczeć. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ IV

Bob przyłożył oko do szpary w okiennicy, popatrzył chwilę i odwraca pobladłą twarz w stronę Johna, który spokojnie układa coś na półce.

— Tłumy ludzi, panie Winders, tłumy ludzi! Stoją, gapią się, śmieją... Co to będzie?

— A co ma być? Za pięć minut otwieramy sklep.

Bob przestraszył się nie na żarty.

— Za pięć minut? Sami? Miał przecież przyjść pan James!

John wzrusza ramionami.

— Nie przyszedł. Może żona nie chciała go puścić, a może się przestraszył. Przecież i ty się boisz, Bob! Widać to po tobie. Ja zresztą też mam trochę stracha. Tylko Sylwia nic a nic się nie boi. Spójrz na nią.

A Sylwia rzeczywiście nie boi się. Łazi po całym sklepie. Zagląda we wszystkie kąty i śmieje się sama do siebie. Od razu widać, że doskonale się tym wszystkim bawi.

Bob wzrusza ramionami. Co ona tam wie, taka smarkata! Nie chodziła przecież na te wieczorne zgromadzenia uliczne, a Bob chodził i wie, czego się można spodziewać.

Westchnął cichutko i spojrzął po ścianach, po półkach. No! Piękny to już ten sklep nie jest. Wielki także nie. Jeden kupujący będzie się jeszcze mógł swobodnie poruszać, dwóm będzie już przyciasno, a więcej jak<sup>15</sup> trzech żadną miarą się nie zmieści. I co oni tu będą kupowali? Pożałuj się Boże! Worek mąki, dwa worki kaszy, trochę warzyw pięknie ułożonych na półkach, parę chlebów na kontuarze — to już wszystko. Pośmiewisko, a nie sklep!

Tak sobie Bob smętnie rozmyśla, ale jednocześnie kombinuje chytrze, że jeżeli się wszystko sprzeda, jeżeli jeszcze choćby kilkunastu ludzi wstąpi do kooperatywy, to zakupi się jedno, sprowadzi drugie i będzie dobrze. A stary Hort pęknie ze złości.

— Bob, otwieramy!

Głos Johna jest spokojny i pewny, więc Bob posłusznie zdejmuje haczyk z okiennicy, otwiera ją... Przez szybę widzi tłoczący się tłum ludzi, słyszy gwar i rwetes.

John, który już szedł do drzwi, też spogląda przez szybę i zatrzymuje się. Waha się najwidoczniej.

Bob mamroce coś pod nosem o tym, że warto by może jednak zaczekać na pana Jamesa. Jeszcze choćby parę chwil... John stoi na miejscu i myśli. Po minie jego widać, że ma ochotę zgodzić się na zwłokę. Bob oddycha z ulgą. Cóż to szkodzi zaczekać jeszcze parę minut? Wtem Sylwia doskoczyła do drzwi i zawołała błagalnie:

— Ja otworzę, John! Pozwól mi, dobrze? Ja otworzę!

John spojrzął na nią tak, jakby się nagle zawstydził. Powiedział krótko:

— Dobrze. Otwórz. Ja będę stał przy tobie.

Za chwilę drzwi do sklepu stanęły otworem.

Cisnąca się u wejścia banda młodych łobuzów tylko na to czekała. Rozpoczęła się najprawdławsza „kocia muzyka”: pianie, gdakanie, kwiczenie, miauczenie, szczekanie, a to wszystko pod akompaniament chóralnego śmiechu setek ludzi.

Po dłuższym czasie wszystko uciszyło się nagle. Do drzwi przepchało się przez tłum kilku mężczyzn. Pierwszy wszedł do sklepu dobrodusznie uśmiechnięty kowal Smith. Inni przystanęli za otwartymi drzwiami i nadśluchiwali pilnie. Smith uściśnął dłoń Johnowi i Bobowi, uszczypał w policzek Sylwii...

— Niechże ja będę pierwszym szczęśliwym klientem. Bob! Zapakuj mi pół funta masła.

— Chwilowo jeszcze nie mamy masła — wyjaśnił John.

— Aha! Rozumiem! Dostawca się spóźnił. To się zdarza, to się zdarza. Nic nie szkodzi, wezmę sobie coś innego. Co by tu... Aha! Poproszę o ćwierć funta śliwkowych powidel, ale prędko, bo jestem bardzo głodny.

— Nie mamy jeszcze powidel... na razie.

Kowal zakłopotał się nieszczerze.

— Ajaj! Szkoda. Taką miałem ochotę na te powidła! No to niech już będzie słonina. Ale John ma już dosyć tej zabawy.

<sup>15</sup>więcej jak — dziś popr.: więcej niż. [przypis edytorski]



— Wy dobrze wiecie, Smith, że nie mamy słoniny. Wiecie, co można u nas kupić, więc po co zawracacie głowę?!

W drzwiach ukazała się ruda głowa przysadzistego tkacza.

— Obrażają klienta — pisnął z przejęciem O'Brien — sam na własne uszy słyszałem, że w tym interesie źle się odnoszą do kupujących. Ale trudno! Czego się nie robi dla kolegów i starych przyjaciół? Daj mi, Winders, ze sześć jaj, bo moja będzie dziś ciasto piekła.

A John jest już znowu spokojny i opanowany.

— Nie mamy jeszcze jaj w sklepie.

O'Brien pokiwał głową ze zdumieniem.

— I co wy na to, Smith? Zdaje się, że będziemy musieli pójść po nasze zakupy do sklepu. Do prawdziwego sklepu!

Wmieszali się obaj w tłum cisnący się u drzwi. Znowu podniosły się nieopisane wrzaski i kwiki. Ktoś wrzucił do sklepu duży kamień.

Bob stoi w kącie zmartwiał z przerażenia, a John blade, z zaciśniętymi pięściami spogląda uparcie w stronę otwartych drzwi.

Wrzawa na ulicy znowu ucicha nieco. Ktoś przeciska się przez tłum, aż wreszcie w drzwiach staje pan James. Bob oddycha z ulgą. Nareszcie jakaś życzliwa twarz!

Nagle...! O Boże! Czyjaż to chmurna twarz wysuwa się zza szerokich ramion Jamesa? Czy nie będzie dziś końca przykrościom?!

Chuda, wysoka pani Maria James staje przed kontuarem i komenderuje ostro:

— Trzy funty<sup>16</sup> mąki, półtora funta kaszy, parę ładnych marchwi, ale już! Na jednej nodze!

Bob ogłupiały, wpatrzony w jej chmurną minę, nie rusza się z miejsca.

— No! ile razy mam powtarzać? Trzy funty mąki...

Ale Bob już nie czeka, już zrozumiał, że to naprawdę, że ta kochana, jędzowata pani James naprawdę chce to wszystko kupić. Odważniki, torebki, łopatki do nabierania mąki i kaszy furkocą mu w rękach. Po krótkiej chwili wszystko jest gotowe.

Maria James staje przed Johnem wyprostowana, chmurna.

— Płacę, John. A daj mi ten wasz kwit. Nie zgubię go, bądź pewien. Nie zgubię żadnego waszego kwitka. Za rok zgłoszę się po swoją należność. Pamiętaj, John!

— Dobry wieczór wszystkim.

A któż to znowu? Ach! Pani Winders! Dobra, kochana pani Winders! Czego sobie życzysz? Funt mąki? Bochenek chleba? Półtora funta kaszy? Zaraz! W tej chwileczce!

I znowu ruch przy drzwiach. Pani Snodgrass, Meta Roob? Wszystkie, wszystkie żony i córki 28 tkaczy, właścicieli udziałów, przysły z koszykami po zakupy. Spieszą się, niecierpliwą. Wszystkie niezmiennie żądają chleba, mąki, kaszy, warzyw. Żadna nie ma ochoty na powidła czy jaja! Oh! Kto śmiał niedawno twierdzić, że nie wiadomo po co kobiety chodzą po świecie. Ładnie byś bez nich wyglądał razem ze swoją kooperatywą, Bobie Sandercie!

Pan James stanął za kontuarem i dzielnie pomaga Bobowi. Uśmiechnięty John przyjmuje pieniądze, wydaje reszty<sup>17</sup>, wypisuje i stempluje kwity.

A za drzwiami umilkli, przyciszeni gapie patrzają się z otwartymi ze zdumienia ustami.

\*

Tym razem zebranie jest liczniejsze. Biorą w nim udział także kobiety, młodzi chłopcy, dziewczęta. I już nie w alkwie starego Henry'ego wszystko się odbywa, tylko w obszernej izbie pani Winders. Zresztą i tu jest ciasno.

John jest wyraźnie wzruszony. Stoi przed zastawionym stołem ze szklanką piwa w ręku i drżącym głosem mówi:

— Za chwilę wybije dwunasta godzina. Zacznie się nowy rok, rok 1845. Powiedziałem już wam, cośmy przez te<sup>18</sup> parę tygodni zrobili i jaka czeka nas praca w tym nowym

<sup>16</sup> *fun*t — anglosaska jednostka masy (0,454 kg). [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *wydawać reszty* — dziś popr.: wydawać resztę. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *przez te parę tygodni* — dziś popr.: przez tych parę tygodni. [przypis edytorski]

roku. Wypiliśmy zdrowie Karola Howarda, który pierwszy wpadł na pomysł założenia w Roczdeltu Kooperatywy pod nazwą Sklep Pionierów. Dziękowaliście mi za moją pracę, a teraz ja dziękuję wam, że nie zapomnieliście o mnie. Ale jest wśród nas ktoś jeszcze, o kim nie wolno zapomnieć. Ktoś, kto włożył w nasz ruch całe serce i całą pracę małych rąk, na jaką go było stać. Mam na myśli małego tkacza, „dzwonnika roczdelskiego”, Boba Sanderta.

— Niech żyje!

— Brawo!

— Dawać go tu!

— Bob! Gdzie się podziewasz?

Ale Bob nie słyszy. Jest zajęty. Usiłuje wyciągnąć z ciemnej sionki Sylwię, która parska wściekle i grozi mu, że go podrapie. Przed chwilą powiedział, że naliczył na jej nosie aż pięć piegów.

## POSŁOWIE

Całe to opisane w tej książce zdarzenie jest od początku do końca prawdziwe. Sklep roczdelskich pionierów został otwarty w roku 1844 dnia 21 grudnia i był właśnie pierwszą udaną próbą zapoczątkowania ruchu spółdzielczego w Anglii. Osoby, które w tym opowiadaniu występują, są zmyślane. Ale prawdą jest, że połowa dziewiętnastego stulecia była w Anglii okresem niesłychanego wyzysku robotników, a w szczególności wyzysku dzieci, które fabrykanci chętnie zatrudniali przy warsztatach tkackich. Były to najtańsze ręce robocze. I chociaż nieliczne jednostki protestowały wówczas przeciwko pracy dzieci, chociaż ludzie tacy jak lord Owen<sup>19</sup> domagali się w parlamencie wydania ustawy, która by wzięła w obronę małoletnich tkaczy, to jednak długo jeszcze po licznych sierocińcach i przytułkach angielskich wędrowali agenci wyszukujący małych chłopców i dziewczynki do pracy w fabrykach. Długo jeszcze setki i dziesiątki „małych Hardy” ginęło z głodu, wycieńczenia i gruźlicy. Trzeba też pamiętać, że dorośli tkacze też pozostawali w okropnej nędzy, bo fabrykanci nie chcieli płacić przyzwoitych pensji ludziom dorosłym, mogąc w każdej chwili zatrudnić dziecko, któremu można było płacić nędzne grosze.

W takich warunkach rozpoczął się rozwój ruchu spółdzielczego. Rozpoczął się od małego sklepiku, którego otwarcie przyjęte zostało przez społeczeństwo kpiną i niedowierzaniem. Ale do pracy spółdzielczej zabrali się tam ludzie twardzi, zahartowani przez życie, ludzie, którzy postanowili przezwyciężyć wszelkie trudności. I jakiż jest skutek tych usiłowań dwudziestu ośmiu ubogich tkaczy? Dziś zapoczątkowany przez nich ruch spółdzielczy stanowi potęgę w dziedzinie handlu i przemysłu. Siedem milionów członków, trzysta tysięcy płatnych pracowników, obrót towarowy sięgający pięciu miliardów złotych rocznie... takich pozycji można by wymienił jeszcze bardzo wiele. Ruch spółdzielczy opanował całą Anglię na lądzie i morzu. Brytyjska flota spółdzielcza składa się z czterech okrętów handlowych, których nazwy są odbiciem ideologii i programu spółdzielczego. Nazwy tych okrętów brzmią: „PIONIER”, „FEDERACJA”, „RÓWNOŚĆ”, „WOLNOŚĆ”.

---

<sup>19</sup>lord Owen — autorowi chodzi prawdopodobnie o Roberta Owena (1771–1858), walijskiego socjalistę i propagatora ruchu spółdzielczego, który jednak nie posiadał tytułu szlacheckiego. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/piach-dzwonnik-roczdelski/>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Piach, *Dzwonnik roczdelski*, Warszawa [s.n., 1938].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Katarzyna Makaruk, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0684-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.